Tom XV. Nr. 2.
11. lipca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Berek Joselowicz,
szef szwadronu w wojsku polskiem.

Weszło to u nas w zwyczaj, że żydów uważają za najpodlejszych i najgorszych ludzi. Wszędy, a już to najbardziej po wsiach panuje przeciw nim nienawiść a każdym żydem pomiataliby nieraz ludzie, gdyby mogli, jak nieboskiem stworzeniem. Jest to wada wielka i nie przystoi nam chrześcianom.

Już to ja wiem dobrze, że dużo a prawie najwięcej jest żydów takich, co się nie boją Pana Boga i obdzierają i szachrują chrześcian — ale ztąd jeszcze nie wynika, żeby wszyscy żydzi byli pijawkami i oszustami. Są między nimi tak jak między nami źli i dobrzy, więc też dla złej połowy nie trzeba pogardzać dobrą. Tymczasem dzieje się u nas, że choćby żyd był poczciwy, to go ludzie nienawidzą, dlatego tylko jednego, że jest żydem. Jest to źle bardzo i sprzeciwia się nauce Chrystusowej.

Jeżeli żyd oszust i ladaco, to za to nim pogardzaj, że oszust i ladaco, ale nie za to, że jest żydem. Bo musicie wie-

dzieć najpierw, że choć żyd nie jest tej samej co my wiary, to jeszcze nie nadaje wam to prawa, aby nim pomiatać. Żałować go tylko trzeba, że dotąd w serce jego nie wniknęło światło wiary — a zresztą sam on za swą niewierność odpowie kiedyś przed Bogiem. A choć on niewierny, to przecież Zbawiciel nasz nakazał, abyśmy i niewiernych nawet za bliźnich naszych uważali.

Dlatego też pogardzajmy tylko takimi żydami, co oszukują lud i zdzierają go bez sumienia, a poczciwych szanujmy jako naszych rodaków. Zresztą zamiast wykrzykiwać na żydów, wolelibyśmy naśladować ich zalety. Oto raczej naśladujmy ich skrzętność i pilność, ich skromność i wstrzemięźliwość, ich oszczędność i przemysł, a przy tem i to braterstwo, jakie jest między nimi.

Powoli, za jakich lat sto, będą żydzi za bożą pomocą lepsi niż dziś, bo wszystko z czasem na lepsze się zmienia, a nasi synowie i wnucy doczekają się tego, że żydzi staną się Polakami, przestaną szwargotać po niemiecku i nauczą się kochać tę polską ziemię, która ich żywi. Do tego już idzie powoli, i już teraz po większych miastach żydzi noszą się i mówią po polsku, nazywają się Polakami i dzieci swe po polsku wychowują. To też w Bogu nadzieja, że tak kiedyś będzie jak w Francyi albo w Niemczech, gdzie już żyda nie odróżnisz od innych krajanów po niczem, ani po ubiorze, ani po mowie, ani po nauce — jeno tylko po ich religii.

Na dowód, że i między żydami bywają dzielni ludzie i dobrzy Polacy, że i między nimi są tacy, którzy kochają naszą polską ziemię i gotowi dla niej poświęcić nawet i życie — opowiem wam tu o jednym żydzie polskim, który się nazywał Berek Joselowicz. Zdziwujecie się pewnie bardzo, gdy wam powiem, czem był ten Berek Joselowicz. Oto był on żołnierzem nie lada, co z własnej ochoty poszedł bić się z wrogami Polski i odznaczył się wielką walecznością, za co też został szefem czyli komendantem całego szwadronu konnicy. Macie ztąd naukę, że i w żydzie, skoro tęgi i dzielny, jest także odwaga i waleczność, tak jak i w każdym innym człowieku.

Berek Joselowicz urodził się na Litwie, w miasteczku Kretyndze, przed stu laty. Był on sobie zrazu takim żydkiem jak każdy inny, jeno że miał dużo miłości do tej polskiej ziemi, na której się urodził. Berek był ubogi a pracując na chleb dla dzieci i żony trudnił się faktorstwem. Jako faktora używał go też i biskup Massalski. Było to właśnie na końcu panowania ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta, kiedy to Moskale zaczęli już gospodarować sobie w Polsce, jakby na własnem śmieciu, a Polacy chwycili za szablę, aby ich wygonić z kraju. Właśnie już i pan Kościuszko przybył był do Polski i objął komendę w wojnie z Moskalami. W całym kraju była tedy ruchawka i wszystko gotowało się do walki z natrętnym wrogiem.

Wiedział o tem i Berek, bo go to wszystko obchodziło, i razu jednego, gdy go biskup Massalski przywołał dla jakiegoś interesu, tak się nieśmiało odezwał:

— Przepraszam jaśnie wielmożnego xiędza biskupa, że się śmiem zapytać, jak tam z naszą sprawą stoi?

— Z jaką sprawą? — zapytał biskup.

— Nu z polską, z wojną przeciw Moskalom? — odpowiedział z ukłonem Berek.

Biskup się uśmiechnął z zadziwienia, bo dotąd wiedział, że żydów faktorów nie obchodziła wojna jeno interes i zapytał:

— A cóż ciebie to obchodzi?

— Jakto — odpowiedział Berek Joselowicz — albo ja nie na polskiej ziemi się urodził?

— Aleś ty żyd!

— To nic nie znaczy. Ja jestem żydowskiej wiary ale jestem Polakiem i tak kocham moją ojczyznę, jak jej może niejeden katolik nie kocha.

Zdziwił się biskup i uśmiechnął się, jakby nie dowierzał — a Berek kłaniając się rzecze:

— Jaśnie wielmożny xiądz biskup się uśmiecha, ale niebawem usłyszy jaśnie wielmożny xiądz biskup, że i żyd umie poświęcić się dla ojczyzny.

I odszedł Berek, a biskup wnet zapomniał o tej rozmowie. Aż tu naraz dowiaduje się, że Berek wyprosił sobie pozwo-

lenie na uformowanie osobnego szwadronu żołnierzy z samych żydów. Istotnie tak było, Berek uzyskał pozwolenie na werbunek i napisał odezwę do żydów, aby zapisywali się na ochotników. Niezadługo znalazł Berek wielką liczbę takich żydów młodych, co się nie bali wojny a uważali się za Polaków i wkrótce miał pod swoją komendą cały szwadron konnicy żydowskiej, w czem mu pomagał bardzo drugi żyd prawy i dzielny, nazwiskiem Józef Aronowicz.

Z tym swoim szwadronem udał się Berek do obozu polskiego, który właśnie stał naprzeciw Moskalów. Zrazu to się niektórzy śmieli i przedrwiwali, co też to będą za ułani żydowscy, ale Berek nic sobie z tego nie robił, jeno mówił:

— Niech się zdrowi śmieją, jak przyjdzie do bitwy i ognia, to ja z moimi żydami pokażę, że umiemy bić Moskali!

I istotnie dotrzymał słowa i pokazał, bo szwadron żydowski bił się z moskiewskiem wojskiem z wielką walecznością i nie bał się najstraszniejszego ognia, jeno szturmował na wroga wśród gradu kul armatnich.

Sam Berek walczył najdzielniej, był on zawsze na przodzie i zagrzewał do boju swych żołnierzy. Sam Berek był kilka razy ranny, a syn jego Józef, który z nim razem walczył, tak się bił dzielnie, że w jednej bitwie z Moskalami odniósł o ś m n a ś c i e r a n.

Widząc to komenda polska, jak walecznie Berek Joselowicz bije się z wrogiem, mianowała go rotmistrzem i szefem tego żydowskiego szwadronu i przyznała jemu i jego dzielnym żołnierzom wszystkie honory wojskowe. Ale też Berek z swoim żydowskim szwadronem dowiódł, że zasługuje na to, bo gdy potem po nieszczęśliwym końcu wojny Moskale zdobywali Warszawę, on z swoimi żołnierzami żydami bronił się na szańcach do ostatniego tchu z największą walecznością i tak wytrwale, że z całego szwadronu tylko on sam i kilkanaście ludzi ocalało z życiem.

Kiedy już Polskę rozdarto na kawałki, Berek Joselowicz krył się przed Moskalami, boby go byli zakatowali tak jak innych walecznych i szlachetnych Polaków — ale później skoro tylko rozpoczęły się wojny Napoleona, on chwycił znowu za

szablę i bił się wraz z innymi Polakami pod tym wielkim cesarzem francuzkim. Kiedy cesarz Napoleon utworzył z kawałeczka polskiej ziemi tak zwane Xsięztwo Warszawskie, w którem panował król saski, wkroczyli Austryacy, którzy wówczas prowadzili wojnę z Napoleonem, do tego Xięztwa polskiego. Polacy się bronili walecznie i dowiedli pod Raszynem, co to znaczy żołnierz polski. Otóż w tej wojnie uwijał się i Berek Joselowicz z swoim oddziałem i bił się dzielnie z austryackiem wojskiem.

Razu jednego dowiedział się, że w miasteczku Kocku, pod Lublinem, znajduje się oddział huzarów austryackich, postanowił więc w nocy uderzyć na nich z swoimi żołnierzami. Ale ktoś uprzedził huzarów i ci zrobili w Kocku zasadzkę na niego. Kiedy Berek Joselowicz wpadł z swoim oddziałem do Kocka, strzelili huzary z zasadzki, a kula trafiła konia Berkowego. Koń poczuwszy ranę rzucił się w szalonym pędzie na prócz i uniósł Berka między kolce drzewa, przygotowanego do spławu. Tak go dopadli huzary i zarąbali na miejscu.

Wielki żal był po tym dzielnym rotmistrzu żydzie, i opłakiwali zgon jego wszyscy wojskowi polscy, jako zgon walecznego żołnierza. Stało się to nawet przysłowiem, że jak kto w bitwie został zarębany lub w jakiej innej nagłej przygodzie zakończył życie, to mówiono: Zginął jak Berek pod Kockiem. A jak znany był Berek z swego wojackiego męztwa i waleczności, to najlepiej ztąd poznacie, że po jego śmierci ułożono spiewkę o nim i jego czynach. Było w tej spiewce opowiedziane, jak zginął w owej zasadzce, a piosnka tak się kończyła:

W tym przypadku huncwockim
Zginął Berek pod Kockiem.

Jeden z znakomitych i sławnych panów polskich, hrabia Stanisław Potocki, miał na zgromadzeniu w Warszawie mowę pochwalną o Berku, w której oddał cześć jego waleczności, jego mężnym czynom i jego śmierci w boju. Król saski zaś, który panował Polakom w Xięztwie Warszawskiem, wyznaczył dla matki walecznego Berka tysiąc złotych rocznej pensyi na całe życie.

Syn Berka Joselowicza, Józef, poszedł za przykładem swego ojca. Kiedy w roku 1831 wybuchło w Polsce powstanie, zbierał także ochotników na Moskala a potem musiał uchodzić za granicę, gdzie życie zakończył.

Taka jest historya o Berku, walecznym żydzie i szefie szwadronu.

Wojtek ze Smolnicy.

Historya o Antonim Morawskim,

rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Ciąg dalszy.)

III. Pan Morawski zostaje rotmistrzem.

Pod Poznaniem Moskal stoi,
Bo chorągiew sprzysiężeńców
Samych młodych zapaleńców,
Tęgo sztuczki wrogom stroi.
Więc się trudno i opędzić,
Bo nie lubią wroga szczędzić.
Od Poznania więc do Gniezna
Rozstawiono gęste czaty,
Ale rzeźnik strachu nie zna,
Posiłkuje braciom pilnie,
I straż sprząta nieomylnie.
Co się który wróg nawinie,
To ucieknie, albo zginie!
A Moskal się dziwi, boi,
A Morawski swoje broi!
Broi, broi, rok już cały,
Sam na siebie mógłby przysiądz,
Że Moskali sprzątnął z tysiąc.
Choć nie szukał za to chwały.
Więc pany konfederaty
Same dziwią się okrutnie,
Kto tak bije rezolutnie,
I tak zręcznie sprząta czaty.
Regimentarz ich naczelny,
Co starostą był na Gławie,
I w ojczystej słynął sprawie,
Słysząc wieści o rzeźniku,
Co tak zwinnie wrogów sprząta,
I po kraju wciąż się krząta,
Choć nie robi z tego krzyku:
Pisze grzecznie i serdecznie
Do rotmistrza swej komendy,
By rzeźnika szukać wszędy
I wynaleźć go koniecznie.
Więc adjutant Kosobudzki,
Człek stateczny, dobry, ludzki,
Jak się weźmie ze swojemi
Po gnieźnieńskiej kręcić ziemi,
Za Morawskim, gdzie wieść niesie,
Aż rzeźnika znalazł w lesie.
Więc donosi wnet staroście,
Że wie, gdzie jest pan Morawski.
Pan starosta rozkaz pisze,
By dzielnemu rzeźnikowi,
Wieźli patent towarzysze
Jako panu rotmistrzowi.
On tam właśnie w tejże chwili
Kiedy nad nim tak radzili,
Bez tytułu i patentu
Oddział Moskwy zbił do szczętu.
I gdy z swymi syt zwycięztwa
Odpoczywał sobie w lesie,
Pan adjutant cześć mu niesie,
Cześć dla ducha i dla męztwa.

IV. Pan Morawski kropi Moskali.

Pan Morawski rycerz dziarski,
Tęgi wojak, rotmistrz barski,
Jedzie sobie do Poznania,
I tam znowu swoich braci
Pod komendę swoją zgania.
Uszykował ich i jechał
Na swój zwykły posterunek,
A po drodze się uśmiechał,
Że dla biedy ma ratunek.
Jedzie słucha, czy gdzie zdala
Nie doleci głos Moskala.
Jedzie a klnie do miljona,
Bo już godzin kilka zjechał,
A los mu się nie uśmiechał,
Chociaż wodzem był szwadrona.
Wtem straż przednia mu powiada,
Że się w baczność mieć wypada.
— Ha odżyła dusza we mnie,
Dalej bracia Toporczyki
Dalej siekać na zraziki!
A nie swarzyć się daremnie,
Do ordynku ciachu, ciachu!
Będzież Moskal miał tu strachu!
Hurra bracia manowcami,
Bijmy wroga toporami!
W gęstwie lasu wróg naciera,
Strzał po strzale z rusznic pada,
Wroga znaczna znać gromada;
Będzie jatka, bój się zwiera!
Więc Morawski z ogniem w duszy
Jak nie weźmie, jak nie ruszy:
Dalej rzezać po swojemu,
Nie żałując cięć żadnemu,
Jak się zwinie swoją sztuką
Jak Moskalom nożem w oczy
Zamaluje, jak podskoczy...
To tak za nim bracia tłuką,
Że Moskale zobaczyli,
Iż się strasznie pomylili,
Bo nie stacząć im tam boju,
Gdzie rzeźnicki topór wali,
I nie prosić tam pokoju,
Gdzie z Morawskim bracia stali.
Więc kwitując ze zwycięztwa,
Krzycząc pardon oniemieli,
I gdy dobrze w skórę wzięli,
Dalej w nogi — pełni męztwa!
A Morawski w tej potrzebie
Zbił dziesięciu sam na siebie,
Bo mu niczem za kark schwycić,
I kozaka ściągnąć z konia,
I nie prędko się nasycić,
Choć ucieka wróg przez błonia.
On się z lasu wymknie jeszcze,
Pogna za nim w pole czyste...
I tam wzbudzi serca dreszcze,
I poczesne da siarczyste.
Jeden tylko, jeden sam,
Pędzi dalej wroga tam.
To mi rotmistrz to mi chwat,
To mi rzeźnik to mi brat!
Potem do swych w lasek wrócił
Na biwaki, na placówkę,
I czekając na frycówkę,
Dawną piosnkę sobie nucił:
„Sam tu zuchy, sam tu smyki,
Proszę, proszę na zraziki!“

V. Jaką sztukę pan Morawski płata Moskalom.

Lecz mu smutno, że z daleka
Od Poznania, gdzie się wścieka,
Ren*) w moskiewskie tuląc kleszcze.
Ej Ren ptaszek, zbójca' Ren,
Popamiętał go i ten!
Więc się rzeźnik sztuczki imał,
Bo bez Rena nie wytrzymał,
Nie wytrzymał drżąc z pragnienia,
By się dobrze dać we znaki,
Gdyż to w nim był zapał taki,

*) Ren, tak się nazywał moskiewski jenerał.

Taka żyłka do brojenia.
Więc się odział wnet siermięgą,
I krakuskę na skroń wdział,
I siarczyście minę tęgą
W chłopskim stroju rotmistrz miał.
Więc Morawski w chłopskiej szacie
Do Poznania sobie wali,
Myśląc nad tem, jak Moskali,
Ma przywitać w polskiej chacie.
Ale myśli nie natężył,
Bo rzeźnicki zmysł zwyciężył:
„Ja ze swoją taratatką
W samem mieście stanę jatką,
I nie małe me wesele,
Gdy z konceptem przedam cielę.“
Jak pomyślił, tak i zrobił,
Cielę sobie przysposobił,
I tak czekał przy sprzedaży,
Aż się kupiec Moskal zdarzy.
Więc się zdarzył: kuchta Rena
W targ i zgoda — i już płaci,
A w Morawskim drgnęła wena,
Że konceptu nie utraci.
Targ się udał więc wesele,
Kuchta do dom niesie cielę,
I gdy pierwszą rozciął ćwiartkę,
Taką przy niej znalazł kartkę:
„Kłania się Morawski,
Przedał ci to cielę,
I znalazł Moskali,
Kpów tutaj nie wiele.“
Kuchta dał kartkę Renowi:
— *Szto to budiet, smotry panie,*
Ja tu naszoł to pysanie.
— *A ty durak!* — Ren mu powie
Znaju toho buntowszczyka
Toho szelmę i reźnika!
Więc on tutaj był dziś w mieście,
Dwieście mi kozaków weźcie.
Po sto pałek dam w nagrodę,
Jeśli umknie — hurra dzieci,
Hurra chłopcy moje młode
Order weźmie, kto doleci!“
Tak Ren wściekły gromi, krzyczy,
I szle pogoń za rzeźnikiem,
Za zuchwałym *buntowszczykiem*,
Szle aż dwustu z swojej dziczy.
Pogoniła czwałem chmura
Wrzeszcząc, krzycząc: hurra, hurra!
I nahajki zaświstały
I jak niegdyś hord tatarskich,
Dzikie tłuszcze uganiały!
„Hej w tem siole już coś dzwoni
Pewno tu ten rzeźnik jest,
Kto go schwyci, weźmie *chrest!*“
I leciała wrogów chmara,
Jako niegdyś ćma tatara,
A Morawski dzielny chwat,
Ze sprzedaży swojej rad,
Do obozu spieszy znów,
Z Rena drwiąc i z jego kpów!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Karabela pradziada.

W naszej Polsce jest dużo wsi takich, które zamieszkane są przez samą drobną i ubogą szlachtę, która tak pracuje i gospodaruje jak każda inna wiejska gromada, jeno że każdy mieszkaniec jest szlachcicem i cała wieś jakąś pieczęcią szlachecką się pieczętuje. Tacy wieśniacy nazywają się u nas

szlachcicami chodaczkowymi a ich sioło zaściankiem szlacheckiem.

Za dawnych czasów, kiedy szlachectwo miało swój walor, takie zaścianki szlacheckie miały swoje rozmaite prawa a mieszkańcy ich jeździli na wojnę i na sejmiki, zaś powstawały te szlacheckie wsie z tego, że król polski wszystkich członków gromady, która się w jakiej wojnie odznaczyła pobiciem wroga lub jakim innym walnym czynem, mianował odrazu szlachcicami.

Otóż w jednym takim szlacheckim zaścianku, który się nazywał Wyżyn, mieszkał pewien stary i zamożny szlachcic pan Antoni Wyżyński. Był to kmieć badzo poczciwy i szanowany, a nie tylko własna gromada ale i wsie sąsiednie czciły w nim wielką sumienność i prawość. Otóż ten pan Wyżyński miał dwóch synów po dwóch żonach Fraciszka po pierwszej, Macieja po drugiej.

Pan Antoni miał już górą lat siedmdziesiąt a obaj jego synowie już w dojrzałych urośli byli chłopów, kiedy w Polsce wybuchło przeciw Moskwie powstanie w roku 1831. Na wiadomość o tem stary Antoni Wyżyński mało że skóry nie wyskoczył, kręcił się i wiercił starowina jak nie swój a gdyby nie siedm dziesiątek lat na barkach, pewnieby był pierwszy pospieszył na Moskala.

Nad jego łóżkiem wisiała stara krzywa szabla, co ją nazywali dawnemi czasy Polacy karabelą, a która zapamiętała jeszcze tureckie wojny i wyszczerbiła się na niejednym łbie pogańskim. Sam pan Antoni Wyżyński odziedziczył ją po swym ojcu, a ojciec jego po dziadzie i ztąd też stara ta krzywa szabla nazywała się karabelą pradziada.

Tak jak dziad pana Antoniego chodził z tą karabelą jeszcze pod Wiedeń z Sobieskim, uwijał się z nią sam pan Antoni pod Kościuszką przeciw Moskalom — a gdy i teraz dowiedział się o powstaniu, westchnął jeno, popatrzył na starą krzywą szablę nad łóżkiem i mówił:

— Hej, hej, gdybym to miał choć dziesięć lat mniej i zdrowe kości, zaraz bym siadał na koń i chwytał za tę karabelę a jechał pierwszy na wroga!

Kiedy tak sobie stary wzdychał, przypadł mu raz do nóg syn Franciszek i rzecze:

— Ojcze! pobłogosław mnie, bo pójdę na wojnę!

Stary spłakał się z rozczulenia, ucałował syna w czoło i rzekł:

— Idź synu w Imię Boże! Ja cię błogosławię dłonią starca! Twój brat Maciej zostanie przy roli, abyś ty miał gdzie schronić głowę, wracając z wojny, a ja oprócz swego błogosławieństwa dałbym ci i tę starą szablę moją, ale dziś już takiej broni nie używają żołnierze, a zresztą, kto wie, może i o naszą wieś zawadzą wrogi, a ja wtenczas chwycę sam za tę szablę i razem z panami gromadą uderzę na Moskala!

Pożegnał się z płaczem Franciszek, uściskał i ucałował ojcu staremu nogi i ręce, uściskał brata i wybrał się na wojnę. Jak poszedł tak przepadł! Już i wojna się skończyła, żołnierze ranni i zdrowi popowracali do domu ale Franciszek nie powrócił. Stary Antoni czekał i czekał na syna a nie doczekał się starowina, zmarł z zgryzoty i żalu, a majątek objął drugi syn Maciej.

Już na grobie starego Antoniego dwa razy zazieleniła się murawa, a Franciszka jak nie ma, tak nie ma.

Na mieniu ojcowskiem gospodarował młodszy brat Maciej. Był to człek chciwy majątku i pieniędzy i z sercem nieczułem — zapomniał o bracie całkiem, nawet się o niego nie spytał, co się z nim stało, czy poległ, czy gdzie żyje, a ludzie coś przebąkiwali z cicha, że Maciej cieszył się z tego, że Franciszek nie wrócił, bo się ojcowskim dobytkiem z nikim dzielić nie potrzebował.

Tak minęło trzy lata, kiedy naraz zjawił się w chacie nieboszczyka Antoniego Wyżyńskiego jakiś wynędzniały człowiek w żołnierskim płaszczu, z złocistym krzyżykiem na piersiach i z wielką blizną od rany przez czoło. Nieznajomy żołnierz wszedł do chaty i przywitał się po nabożnym zwyczaju:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki, wieków! — odpowiedział Maciej i pobladł jak chusta.

Poznał on w żołnierzu swego brata Franciszka.

Zrazu przemogło jakoś w Macieju serce braterskie, przywitał się z bratem dobrze, ugościł go jak przynależy i wysłuchał jego opowiadania. Franciszek zapłakał po ojcu, a potem opowiadał, jak się bił przez całą wojnę, jak był w największym ogniu w pięciu bitwach i Bóg go ocalił, ale przy szturmie Warszawy wzięli go Moskale do niewoli i trzymali przez całe trzy lata przy robocie w fortecy i dopiero teraz go wypuścili.

Franciszek długo opowiadał bratu i sąsiadom, którzy się zbiegli przywitać go po długiem niewidzeniu, swe wszystkie przygody żołnierskie, aż zmęczony położył się spać i przespał po długich trudach pierwszą spokojną noc pod strzechą ojcowską.

Na drugi dzień ledwie wstał, już brat zawołał go do komory i mówi mu:

— Powiedz że mi kochany bracie, co z sobą robić myślisz?

— A cóż, kochany Maćku, zostanę z wami pod ojcowskim dachem...

Maciej się skrzywił niechętnie i mówił:

— Kiedy bo widzisz Franciszku, że u nas bieda wielka, a ten majątek po ojcu ledwie dla mnie i dla moich dzieci wystarczy...

Zabolało serce Franciszka na te słowa, ale nie dał tego poznać po sobie, jeno mówi:

— No już to ja wam darmo chleba jeść nie będę, pomogę za to we wszystkiem w gospodarstwie, bo chwała Bogu, człek jeszcze zdrowe kości wyniósł z wojny.

— Kiedy bo widzisz kochany bracie — rzecze niedobry Maciej — ojciec przy śmierci o tobie nic nie wspominał, jeno mi cały majątek zapisał...

— Jakto! — zawołał Franciszek — więc mój ojciec miałby o mnie zapomnieć! Ha niech i tak będzie, ale przecież choć na jakiś czas musisz mi dać przytulisko jakie...

Maciej mruknął coś z niechęcią pod nosem. Franciszek to zauważał, przejrzał niegodziwe serce brata i mówi:

— Widzę, żeś mi nie rad bracie! Nie będę ci się też natrącał! Kiedy ojciec chciał, abyś ty miał cały majątek, to ojca wola święta! A powiedz że mi prawdę, czy nie przekazał mi nieboszczyk ojciec choć jakiej pamiątki?

— A prawda — rzekł na to Maciej — zostawił ci tę starą szablę krzywą, co wisiała nad jego łóżkiem.

— A więc daj mi ją bracie. Pójdę w świat znowu i potrafię sobie jakoś między ludźmi zapracować na życie.

Maciej pobiegł na strych, bo nie szanując pamiątki po ojcu, rzucił był starą szablę gdzieś między stare żelaziwa i śmiecie. Kiedy przyniósł szablę, Franciszek chwycił ją w ręce, pocałował i począł ją oglądać ze łzą oka, bo mu się na jej widok przypomniał ojciec nieboszczyk.

Ta stara karabela była ogromna, taka, jaką by dziś już nie lada kto potrafił wywijać! Była ogromnie szeroka, a pochwa jej była ze skóry, wybijana posrebrzanemi gwoździkami. Franciszek oglądnąwszy karabelę, chciał ją wyciągnąć z pochwy, aby się przekonać czy też mocno zardzewiała. Pociągnął tedy za rękojeść silnie i wydobył gołą szablę, ale razem z ostrzem wyleciał na wierzch jakiś papier z szerokiej skórzanej pochwy.

Franciszek podniósł ten papier, rozwinął go i począł czytać. Papier ten musiał być ważnej treści, bo Franciskowi aż ręka zadrżała.

— Macieju — zawołał na brata — czyś miał ty sumienie?

— Co mówisz? — odpowiedział Maciej — nie rozumiem cię.

— Czy wiesz, kto ten papier zapisał?

— Nie wiem.

— Zapisał go nasz nieboszczyk ojciec, krótko przed śmiercią.

— I cóż tam stoi? — zapytał niespokojnie Maciej i pobladł mocno.

— Oto przeczytam ci. Słuchaj!

I Franciszek począł czytać. Na papierze stały te słowa: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Ponieważ uważam, że mój syn Maciej jest chciwej duszy i niemiłosiernego serca, a zatem gotów po mojej śmierci pokrzywdzić mego drugiego

syna, który jest na wojnie, a zatem spisuję tu moją ostatnią wolę, jako cały majątek mój w ziemi i w gotówce przekazuję memu synowi Franciszkowi — jednakże zostawiam to jego sercu, aby ile jego wola, dał z tego część jakąś Maciejowi.“

Widać stary napisawszy taki testament schował go umyślnie do pochwy karabeli, a potem umierając nagle, nie powiedział ludziom, gdzie się ten papier znajduje.

Gdy Franciszek przeczytał papier, stanął Maciej blady jak trup i oczu nie śmiał podnieść na brata. Franciszek zaś w te odezwał się słowa:

— Bracie, niegodnie sobie postąpiłeś! Gdybym był mściwym, mógłbym cię teraz wypędzić z ojcowskiej chaty, wydać cię wraz z żoną i dziećmi na pastwę nędzy. Ale ja nie chcę odbierać ci tej mamony, którą tak pokochałeś, żeś dla niej o sumieniu, o woli ojca i o bracie twym zapomniał. Patrz oto co zrobię!

I Franciszek chwycił ów papier i rzucił go na ogień, który palił się na kominie.

Papier spalił się czerwonym płomieniem, ale jeszcze bardziej zaczerwieniła się od wstydu twarz Macieja...

Gdy papier spłonął, Franciszek chwycił za swą torbę i zakładając czapkę rzekł:

— Bywaj zdrów bracie! Pójdę w świat i znajdę tam przytułek! Nie bój się niczego! Nie powiem nikomu o tem, co się stało, a nie zobaczymy się z sobą nigdy!

I ze łzą w oku ruszył ku drzwiom.

Tymczasem w sercu Macieja gotowało się gwałtownie. Sumienie odezwało się w nim nagle a szlachetność Franciszka, który dobrowolnie wyrzekł się całego majątku, tak go rozczuliła i poruszyła, że łzy polały mu się po twarzy.

Rzucił się za Franciszkiem i padając przed nim na kolana, zawołał z płaczem:

— O zostań bracie, nie odchodź! Twoja dobroć i szlachetność przekonała mnie dopiero jasno, jaki byłem niegodziwy i podły! Bracie, drogi Franciszku! Przebacz mi, przebacz i zostań, gdyż inaczej umrę z wstydu i frasunku!

Franciszek widząc płaczącego brata u nóg swoich, podniósł go i przebaczył mu z serca. Obaj uściskali się serdecznie. Franciszek został w chacie i obaj bracia wspólnie pracowali na swej ojcowiznie...

A stara karabela pradziada, którą Franciszek tak ślicznie odczyścił, że świeciła się jak zwierciadło, wisiała teraz nad łóżkiem żołnierza a nad nią wisiał i ten złocisty krzyżyk, który Franciszek otrzymał za waleczność... A w każdą rocznicę śmierci nieboszczyka Antoniego, dziatki Macieja zbierają kwiaty, i stroją stare szablisko!

I w chacie obu braci panowały odtąd szczęście i zgoda!

Oby wszystko złe tak dobrze się kończyło!

Kiedy jest prawy czas do żniwa?

Nie zaszkodzi gospodarzy naszych tem pytaniem zatrudnić. Zbyt często bowiem mało zważają na to, aby zbiór ziemiopłodów, mianowicie zboża w właściwym czasie się odbył; żeby z ziarna nic nie zginęło, celem uzyskania nagrody za pracę, nawóz i nasienie, i żeby wartość zbioru stanowiła odpowiedni dochód. Już kiedy samo zżęcie w odpowiednim czasie i z oględnością zostanie wykonanem, znajdzie gospodarz o wiele znaczniejszy zysk z swojej roli.

Zwykle żniwo przy wszystkich ziemiopłodach zaczyna się później niż potrzeba. Ztąd wielka szkoda dla gospodarza, jeżeli go zaniedba. Przy zbożach zazwyczaj wyczekują, aż ziarno do zupełnej dojrzałości przyjdzie. Zaczynają żąć, gdy ziarno zupełnie stwardło, tak iż między zębami jak szkło się kruszy, a słoma całkiem zbielała i łamie się. Pospolicie wieśniak uważa zboże za zupełnie dojrzałe, gdy, jak to przy życie i jęczmieniu bywa, kłosy się schyliły; przy roślinach olejnych zaś, gdy kolor utracą i pękają. Przy tem jeszcze sąsiad ogląda się na sąsiada, i mniema, że ma dosyć czasu, kiedy drugi nie zaczął. Tymczasem ziarno przejrzeje, tak iż przy miernym wietrze wypada. Gdy się potem żnie, wypada jeszcze więcej ziarna, i kłosy odłamują się. Na domiar szkody, wykonywają się i dalsze roboty

żniwowe bez uwagi i oszczędności, tak że jeszcze raz tyle niszczeje, i czasem połowa ziarna na polu zostaje. Widzimy to nieraz, gdy po porzewróceniu ścierniska, gęsty zasiew na zagonach wyrasta. Tym sposobem gospodarz traci często cały czysty dochód i więcej.

Zdarzają się wprawdzie przeszkody przez niepogodę, ale i tu oględny gospodarz będzie umiał zapobiedz niepotrzebnej stracie. Nie potrzebuje do tego nic więcej, tylko ażeby wszystkich sił jakie ma, z uwagą w prawym czasie i odpowiednio użył. Więc gdy się czas żniwa zbliża, powinien bacznem okiem na swe ziemiopłody patrzeć; w tym porządku jako dojrzewają, często i nawet kilka razy dziennie próby ich dojrzałości czynić, ażeby rznięcie w sam czas przedsięwziąć.

Kolor słomy i ziarna mniej jest znaczącym. Jednakże trzeba baczyć na czas, gdy słoma zielona zażółknie. Przy ziarnku trzeba dozierać, skoro takowe ścisnąwszy je palcami, przy pszenicy i owsie nie jest mlecznem, przy życie i jęczmieniu zaś nie jest wodnistem, ale mocno klajstrowate, tak iż się nie daje rozmazać. Wtedy jest prawdziwy czas do żęcia, chociażby słoma i ziarno zielonawe jeszcze były. Przy jęczmieniu w tym czasie brzegi brunatnieją.

Czas zbierania lnu i konopi, jeżeli chcemy mieć włókno dobre jest, gdy łodyga zażółknie. Jeżeli chcemy mieć nasienie trzeba wyczekać dojrzałości. Jeżeli chcemy mieć oboje, nasienie i włókno, trzeba te rośliny zbierać, gdy ziarno już jest zupełnie rozwinięte ale jeszcze nie dojrzałe; ponieważ włókno jest tem gorsze, czem dojrzalsze ziarno. Przy zupełnej dojrzałości włókno jest drzewiaste, łamie się i traci wartość.

Do zupełnej dojrzałości dojdą potem zżęte rośliny na pokosach, w rzędach lub w lekko związanych snopkach, i tu należy czekać, aż ziarno będzie należycie twardem, a słoma suchą i łomną. Potem dopiero ma się zwozić, co znowu powinno się odbywać z przezornością i oszczędnością.

Przez wczesne żniwo otrzymujemy nietylko lepszą, pożywniejszą słomę na paszę, ale także ziarno piękniejsze, mączniejsze, obfitsze w olej, a zatem i cenniejsze, na miarę wydatniejsze, i nie kurczące się tak, jak gdy na pniu dojrzeje. Wcześnie zżęte zboże kupują także handlarze chętniej, i płacą je lepiej.

M.

RÓŻNOŚCI.

Straszna burza. Z Nowego Sącza piszą: W sobotę dnia 29. czerwca o godzinie pól do trzeciej po południu nawidziła nas straszliwa burza. Tego dnia również jak dwa dnie poprzednie, słońce okropnie przypiekało. Zboże jeszcze zielone, w owych dwóch dniach zupełnie zżółkło, liście jarzyn zeschły, bo wiatr palił ogniem. Skwar był niesłychany, a wszystko co żyje, cały dzień siedziało ukryte po dziurach, ulice puste, miasto jak wyludnione. Już o godzinie drugiej z południa ujrzano na zachodzie brudnoszarawą chmurę, w której ciągle wrzało, a ogniste węże nieustannie ją przeszywając, zapowiadały nam straszliwego gościa. I w istocie skutek okazał, że obawy nasze nie były płonne. Ciągnąc on od Limanowy na Tkaninę, Trzetrzewinę, Biczyce, Chełmiec w prostym kierunku, zmłócił bez litości tegoroczne plony i wpadł z wściekłością na nasz na wzgórku stojący Sącz, tak gwałtownie, że nie podobna było zapobiedz zniszczeniu, choćby zamknięciem drzwi i okien. Zawył też straszliwie wśród miasta, miotając tumany kurzu i gęstym gradem wielkości średniej orzecha włoskiego, a w szalonym wichrze wszystkie nam wysypał okna. Tylko pięć minut trwała burza, ale kto nie był świadkiem tego strasznego widoku, ten nie pojmie dokładnie przestrachu i przerażenia naszego. Wystawcie sobie wycie wichrów, tumany kurzu pod obłoki wzbite, miotane w twarz i oczy przelęknionym i uciekającym ludziom, zupełną ciemność wśród dnia, tysiące ognie z chmur, łamanie się piorunów w niezliczone echa, wnet głuche jakby podziemne, wnet z przerażającym trzaskiem, szum sypiącego się gradu, trzeszczenie dachów, a wśród tego okrótne bicie okiennicami, drzwiami i oknami — brzęk szyb i wyrywanych okien, nawiew lodu i wody do izb, przy czem łom konarów z drzew jakby pod ogniem kartaczowym, jeszcze więcej dodawało okropności. Dodać do tego jeszcze krzyk rozpaczliwy, bieganie tam i sam, nawoływanie — płacz dzieci, powszechna wrzawa — a będzie mały obraz sądu ostatecznego. I nie dość na tem; burza pociągła jeszcze na nasze łany zbożowe, zwaliła i wytłukła na lichą mierzwę i skręciła się ku stronie północno-wschodniej na Puszyn i Mogilno. Ale wywarłszy całą złość swoją na Sączu, nie wiele tam poszkodziła. Zważone jedno ziarno gradu okazało pół łuta ciężkości. Grad padał krótko, ale i to wystarczyło, aby po sobie nieobliczone pozostawić skutki; zmiótł on bowiem cały plon, a pasmo od Kaniny do Sącza dwie mile długie a pół ćwierci mili szerokie, kędy owe burze przeleciały, zamienione w czarny szlak, wsie bez dachów, a chaty odarte i bez okien. Tak to całoroczna nadzieja rolnika została w kilku minutach zniszczoną! Kamienie rozpalone przemieniły w okamgnieniu grad w parę, ale w zagłębinach leżał grad całą godzinę. Zaraz też telegrafowano do Krakowa, Tarnowa i Bochni o przysłanie szklarzy, którzy szkodę na 4000 złotych obliczają. Dzisiaj miasto nasze wygląda jakby po ataku nieprzyjacielskim. Dachy pouszkadzane, nigdzie całej nie ujrzysz szyby, ulice szkłem wyścielone, domy jak trupie czaszki. A pola? Istny obraz zniszczenia. To też targ nasz tygodniowy, na który zbierają się ludzie z okolicznych wiosek, przedstawiał ogromną scenę płaczu i narzekania; mało kto targował, bo wszyscy tylko o stracie i o zupełnem zniszczeniu mówili!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.